

SYLWIA CHUTNIK

Ja to ja

Moje ciało urodziło się na styku realizmu okrutnego i baśni niemożliwej. Mama kelnerka, tata perkusista – zakochali się w sobie, pracując w restauracji Słoneczna. Mogłabym mieć tak na imię, ale wybrali Sylwię („dzika, żyjąca w lesie”). Żyłam jednak w bloku z wiecznie zapchanym zsypem i psem sąsiadów ujadającym w rytm zacinającej się windy.

Niebawem po lipcowych narodzinach ciało trafiło do szpitala, a podczas ciężkiej choroby moja dusza krążyła po warszawskiej Woli. Okolice barwne, znane z przyśpiewek, gdzie „na Wolskiej pod Kogutem, tam była zabawa”. A ich uczestniczka, Rum Helka, „gruba jak ta belka”, była podobna do mnie, a to dlatego, że się nabawiłam na oddziale gronkowca, sepsy, jakichś innych świństw i jedna noga napuchła mi do rozmiarów kolumny doryckiej. „Tyś mocna jak ta szklanka”, i owszem, i może to prawda: przeżyłam wszystko, a potem wynieśli mnie w beciku po kilku miesiącach umierania. Najwidoczniej „trzymałam sztajerski gest”, przecież jestem „dziewczyna fest”.

Rodzina dała na mszę w kościele świętego Wojciecha. W powstaniu warszawskim urządzono w tym miejscu obóz przejściowy, rozstrzeliwano podejrzanych o udział w walkach. Mury budynku niejedno słyszały, więc kolejna prośba mogła na nikim nie zrobić wrażenia – a jednak. Jestem, udało mi się z tej łapanki wyjść cało. Ciało wymodlono. Dusza pozostała niepodległa. Moja skóra do tej pory nosi ślady po zabiegach, jest niczym mapa, pognieciona, wymęczona. Prowadzi mnie jednak w ciekawe rewiry – nie narzekam.

Na siebie patrzę z dobrocią, jest na to francuskie słowo *bienveillance*. Przez wiele lat dręczyłam się wymówkami, że mogłabym być miłsza, mądrzejsza i ładniejsza, ale w ogólnym rozrachunku leżę wieczorem i mówię do siebie: „Ej, dużo przeszedłeś, nieźle sobie z tym radzisz”. Czterdzieści pięć lat po cudownym wyzdrowieniu pojawiła mi się przed oczami następująca scena: wchodzę do sali starego szpitala i widzę na środku łóżeczko, w którym leżę. Wokół stoi moja rodzina, ale mijam ją i zdecydowanym gestem sięgam po siebie. Biorę na ręce małą mnie i mocno przytulam. Ochraniam od złego, od świata. Nic mi się już nie przytrafi, bo czuwam nad sobą. Ja – Duża – wiem wiele, chcę zadbać o mnie – Małą. Obolałą, z dziurawym ciałem, bardzo słabiutką Sylwunię. Wy jej nie widzicie w taki sposób, wy ją czytacie jako wściekłą dziewczuchę. I bardzo dobrze, może dzięki temu nikt jej znowu nie skrzywdzi.

Niosę więc na rękach małą Rum Helkę przez wszystkie dzielnice miasta. Po jakimś czasie, niczym u matrioszki, jej ciało pęka na pół. Rodzi dziecko. Jest już dorosła, ale wciąż bryka niczym małolata. Teraz ona trzyma w ramionach inne ciało. Mamy syna we dwie. Ja – poraniona chorobami, i ja – wreszcie zdrowa, pierworódka o niespożytej energii. Mieszkamy na Ochocie, przy bazarze, powstaje o tym książka.

Sylwia wydaje się stabilna psychicznie i fizycznie, syn rośnie zdrowo. Wszystkie problemy biorę na siebie, w nocy połykam je i wybuchają w środku, raniąc znowu ciało. Tym razem tak, aby nie było śladów. Aby nikt nas nie zawiózł do szpitala. Tylko nie tam. Muszę teraz chronić nie tylko małą mnie, ale też syna. Wokół pełno ludzi, a ja ciągle sama na środku placu. Tłum mnie potrąca, depcze, gada coś do ucha. A ja trzymam swoje ciało, aby się nie rozsypało, i najmniejsza nawet infekcja, kaszelek, gorączka to od razu wielka trwoga. Czy umrę? A może to wszystko moja wina? Mogłam się cieplej ubrać, zapiąć pod szyją, połknąć witaminy i nakryć kołdrą aż po brodę. No i proszę, jest choroba, mało ci chorób? Rodzina surowo ocenia moje wybory życiowe, grzmi, że teraz mam przecież dziecko i jestem za nie odpowiedzialna. Pamiętaj, twoja najważniejsza rola to rola matki, a ty latasz rozgokolona, to niedziwne, że się źle czujesz.

Źle się czuję. Biorę na siebie za dużo, stres spowodowany brakiem pieniędzy pcha mnie w stronę najdziwniejszych prac i zajęć. Piszę książkę, odnoszę sukces, potem jeszcze jeden i następny. Zmieniam dzielnicę, ciągle piszę, działam, awanturuję się. Boli mnie serce. Wciąż nacinam skórę na nadgarstkach, żeby upuścić krwi i nieco oczyścić się z lęku. Odczuwam wtedy ulgę, robię tak od lat, ukrywam ślady pod bransoletkami. Taka moda, że się tyle nosi tej biżuterii, taka moda. Na ciele nowe tatuaże i kolczyki, pod nimi białe plamy od nakłuć niekończących się zastrzyków dla małej, umierającej Sylwuni.

Gdy idę na pobieranie krwi – pielęgniarki przewracają oczami. Znowu ta ze zrostami. Chciałam kiedyś zostać honorowym dawcą, ratować ludzkie życie. Panie na recepcji się zlatują i pokazują sobie moje żyły, klepiąc, aby choć trochę je wydobyć. „No nieeee no, ma pani okropne to ciało, nie ma się jak wbić, te żyły bardzo brzydkie”. I co, medycyna estetyczna z powiększaniem piersi i liftingiem – masz coś na brzydkie żyły? Nie sądzę. Muszę więc żyć z piętnem tej, która w czasie badania mówi z rezygnacją: „Można pobrać z dłoni, z pachwiny, z nogi”. Nigdzie indziej nie ma już miejsca.

Co oni mi wstrzyknęli w szpitalu na Wolskiej? Bardzo dużo bakterii. To one wywołały zakażenie całego organizmu. To bezpośrednie zagrożenie życia. A to – dożywotni wstręt przed szpitalnym zapachem i przed tym krótkim momentem gaśnięcia. Że to już, ostatecznie, do widzenia i mnie nie ma. Koniec balu, panno Lalo, nawet nie zdążyłam się zabawić. Duża ja ciągle myśli o tej sprawie, kombinuję, jak uwolnić się od przeszłości. Próbuję logicznie: że dawno, że już wszystko dobrze, wszyscy zdrowi, po co rozmyślać i drażnić temat. Próbuję na ostro: ogarnij się, inni mają gorzej, gorsze rzeczy przeszli i potrafią skupić się na tym, co przyniesie następny dzień. Wyluzuj.

A potem przychodzi noc i znowu wchodzę do sali pełnej płaczących maluchów. Patrę na siebie zakutaną w kable i kroplówki. Wyciągam do siebie samej rękę, wszystko wokół milknie, tworzy się korytarz międzyczasowy, maszyny obok głośno pompują życie. Właczają je desperacko w noworodki, jakby w nadziei, że uda się je nadmuchać radością. Unoszę się więc w pościeli jak balon, jestem już pod sufitem. Podmuch wiatru wywiewa mnie przez okno i zaczynam latać nad Warszawą jak pojebany zeppelin. Duża ja zostaję w pustej sali, patrzy za noworodkiem, wierząc, że będzie umiał sam do mnie wrócić.

Próbowałam pisać o własnym bólu, przemycać go w opowieściach. Kiedyś poproszono mnie, bym przeczytała własną książkę w studiu nagrań. Myślałam, że przy niektórych fragmentach zadrży mi głos. Może nie od razu histeria, która zamieni się w niekontrolowany szloch, ale że polecą mi chociaż malownicza łza po policzku, a ja otrę ją przy mikrofonie i będę czytała dalej. Nigdy się tak jednak nie stało, włączałam znany sobie tryb profesjonalistki. Ale po każdym dniu nagrania czułam się zmęczona. Oczywiście, znużenie i ból głowy mogły wynikać po prostu z fizycznego wyczerpania przepony lub nieodpowiedniego oddechu w trakcie czytania w dusznym studiu, i to przez wiele godzin.

A jednak nie opuszczało mnie wrażenie, że o wiele bardziej wzruszałam się, czytając opowiadania o doświadczeniach innych kobiet niż fragmenty dotyczące mojego własnego życia. Ukrytego w literackim języku, przerobionego, pochowanego między żarcikami a metaforami. Kluczyłam w tekście, gubiłam tropy. Sama siebie gubiłam. Ale to przecież było moje życie – ja je sobie przeżywałam osobiście. Więc?

Nie miałam też *katharsis*, nic się nie wydarzyło. Powstał audiobook. Jedna osoba po spotkaniu autorskim powiedziała, że podobało jej się to, w jaki sposób przeczytałam tekst: „Ma pani taki wesoły głos. Dobrze się tego słuchało, bo można było wyczuć, że się pani świetnie przy tym wszystkim bawi”.

Patrzę na swoją skórę z wypisanymi na niej najbardziej osobistymi historiami. Czytam je, kręcę głową, coś sobie mówię cicho, szeptem. Spoglądam w lustro, *bienveillance*. Ja to ja, to ta mała dziewczynka z fruwającą duszą. To ta pani w średnim wieku ze zmarszczkami wokół oczu. Ze śladami walki o możliwość wylądowania w baśni możliwej, w realiach przyjaznych i spokojnych. Na własnych zasadach.

Mocna, „jak ta szklanka”. Słaba, jak to dziecko, które łapie oddech i bardzo, naprawdę bardzo chce żyć.